



Pójdziemy na cmentarz

Pójdziemy na cmentarz, bo w grobie śpi... człowiek, o którym mówią Chińczycy, że jest dzieckiem słońca. O, więcej niż słońca, bo Boga; On był jego źródłem i świętą genezą. A jeśli pochodzą ludzie od samego Boga, to są naszymi krewnymi, braćmi. (Lakt.) A więc w grobach, na wszystkich cmentarzach świata śpią nasi krewni i bracia; z którymi dzielimy dziś los smutnych ziemskich pielgrzymów, zmierzających do lepszej krainy, a z którymi jutro dzielić będziemy los każdego człowieka, a tym losem i przeznaczeniem jest ziemia cmentarna. Wczoraj jeszcze nie przedstawiali wraz z nami zasiadać do stołu życia, ciesząc się i płacząc, cierpiąc i pracując, może nawet modląc się za nas; pchając tę tarczę ciężką żywota ku bramom wieczności. Wspólnych Taborów, a zwłaszcza Golgoty nie wolno zapomnieć. Pójdziemy więc na cmentarz, by wspomnieć wszystkich naszych braci w Panu, by się za nich pomodlić!

Pójdziemy na ich grób, bo przecież to bracia nasi w Chrystusie. „Nie masz ani Żyda, ani Greka, nie masz niewolnika ani wolnego, nie masz męża czyżny ani niewiasty. Albowiem wszyscy wy jedno jesteście w Chrystusie Jezusie”. (Gal. 3,28). Jedno wczoraj na Jezusowych rozlicznych frontach, jako towarzysze broni, spode tych samych znaków. Jedno wczoraj przy Stole Pańskim, jedno w Jego rozspiewanych kościołach, jedno na drogach Jego słonecznej Ewangeli, jedno przy Jego Trybunałach Miłosierdzia; jedno na drogach świadectwa dobrze światu w Jezusowe imię; jedno w dniach wolności i niewoli, w dniach triumfu i klęski... A jeśli jedno wczoraj, to zobowiązuje, wszak miłość jest mocniejsza od śmierci i nie może przegrać u bram cmentarnych. Pójdziemy więc do braci naszych w Chrystusie, dla których tyle zdziałał za życia, których życie doczesne i wieczne polecił naszemu wielkiemu sercu, wychowanemu w cieniu Ewangeli, którego domy i mieszkania, te ziemskie i te na cmentarzu i te chwilowe w czyszczeniu — nakazał otoczyć kultem miłosnym, jakby to było Jego mieszkaniem. Jego dom... Jego czyszczenie... Pójdziemy na ich grób w imię Chry-

stusa, prosząc Go słowy pieśni; „Dobry Jezus, a nasz Panie, daj im wieczne spoczywanie!”

Pójdziemy na ich grób, tym bardziej, że pośród nich są tacy, którzy „umarli, abyśmy żyli”; których „grób stał się kołyską naszego życia”, naszej wolności!... „Ojczyzna i wiara, to wielki ołtarz, a człek to źdźbło mirry, której przeznaczeniem spalać się na chwałę ołtarza”. (Sienk.) ... I spalali się na proch po obozach hitlerowskich; na którym teraz rośnie nasza trawa i nasza zboże; proch, który popłynął wodami świętej Wisły; proch, który wiatry rozniosły daleko po świecie... I spalali się na frontach dalekich, umierając daleko od swoich... Przy ich śmierci tylko deszcze im płakały, tylko wichry im grały marsze żałobne. Dziś śpią na szerokich równinach Rosji, na rudych płaskach Afryki, pod wzgórzem Monte Cassino, czy nad cichymi fiordami Norwegii. Ojcowie to nasi, mężowie to nasi, dzieci to nasze, krew to nasza. O każdym z nich można powiedzieć słowami poety; „Zginął, jak ginął żołnierz — rycerze... jak dąb się powalił, ale nas wszystkich swym zgonem ocalił!” (Mohort). Zginął, albowiem „wojna nie rodzi ludzi, tylko ich gubi, a żołnierz jest jak ołowianka, który doża weńceki rzucał w morze. Gdzie padnie, tam piasek go pokryje”. (Sienk.) ...Pójdziemy, by za nich zmówić pacierz, nie opuścimy żadnego cmentarza świata, wyrosłego pod miotłą ostatnich wojen, ostatniej okupacji; przywołamy na pamięć wszystkich proch ich; pójdziemy, by oddać dług; pójdziemy tym bardziej, że niejednego z nich skarży się słowy biedaka przy sadzawce Siloe, iż „nie ma człowieka” lub słowami psalmu „W ręku twoich losy moje!” (Ps. 30,16).

Pójdziemy na ich grób, bo to grób naszych najbliższych, którym po Bogu najwięcej za wdzięczamy. Mam na myśli nasze matki, ojców, naszych wychowawców i dobrodziejów. Pójdziemy na grób tych, których po Bogu, a nieraz bardziej i czulej od Boga kochaliśmy kiedyś... „Ten trup był niegdyś świątynią Boga, teraz z niej została tylko ruina; nie mniej jednak i ruinom świętym należy się cześć” (św. Aug.). Na przykład ta matka, czyż nie była

świątynią cudownej podobną, w której się stale msza św. odprawiała; we dnie i w nocy, w czas naszych cnot, a zwłaszcza grzechów? Czyż przypadkiem ta ruina, ten grób jej, to nie jest dzieło tego miłosnego huraganu, który świątynię tę zwał? Czy przypadkiem nie pękła struna na harfie jej serca tylko dlatego, że była stale napięta na najwyższy ton samozaparcia i ofiary? Czyż do niej nie można by zastosować słów poety? „Wszystko nam dałaś, co dać mogłaś, matko?”... Czyż nie świątynią dobroci, miłości było serce tego ojca, babuni; tego nauczyciela, wychowawcy, który w tej duszy zapalił światło; zasiał to cudowne ziarno i wiedzy, i cnoty?... Czyż nie świątynią, o niespotykanym pięknie było w twoich oczach twoje dziecko, twój syn i córka; świątynią, przed którą wczoraj klękałaś, aby się w niej i do niej pomodlić; aby ją ozdobić w najpiękniejsze dzieła twojego rozumu i serca?... I co się stało, że dziś wczorajsze wasze świątynie stały się ruiną, której nikt nie kocha, której nikt nie odwiedza, której wygląd nikogo nie smuci?!

Pójdziemy przynajmniej dziś do nich, bo ci, co nas prawdziwie kochali i nasza miłość na cmentarzu leży. Po ich odejściu jesteśmy, jak ta wyspa na oceanie, do której żaden okręt nie dobija; o którą rozbijają się fale ludzkiego zima i wielkiej obojętności!

Pójdziemy, aby ich odwiedzić, jak oni nas kiedyś odwiedzali za życia w naszych ogrodach i czyszczeniach życiowych; odwiedzali aż do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchnienia.

Pójdziemy, aby im podziękować za łaskę życia i za wszelkie dobro, jakie tak hojnie spadło z ich ręki na nasze głowy i serca. Tak, za łaskę życia; za to, że odważyli się być dla nas świętym źródłem: mimo ciężkich warunków, mimo czasów wojennych; mimo, iż diabeł nieraz i ich kusił, by nas zniszczyć, by nam zamknąć niebo na wieki...

Pójdziemy przeprosić ich za to, że myśmy kopali ten grób naszym życiem z ym...

...iż tak mało pamiętamy o ich duszy, która nie przestaje skarżyć się słowami „Opuszcili mnie bliscy moi, a ci, którzy mnie znaleźli, zapomnieli o mnie”. (Job. 19,14).

...iż na ich grobach nie ma krzyża, a miast kwiatów, rosną tam tylko łopuchy i ziel-



Żałoba
Cyril dell'Antonio

ska; iż tam nikt nie klęka, nikt nie przychodzi, tak iż nie przestają brnąć „Człowieku, córko, jeżeli suknię, którą zostawiam, pierścien mój w takiej masz cenie — to dla czego nie cenisz ciała, które prze cież ściśles z tobą było złączone, niż suknią, czy pierścieniem?” (św. Aug.).

Gdy dzwony uderzą w Zadzuszny Dzień, a światem po płyną pieśni, w których tyle jest smutku, żalu, tęsknoty i prośby... rzucimy wszystko i wspominając — przepraszając — dziękując i polecając Dobremu Bogu naszych zmarłych — i my pójdziemy na cmentarz!

O. Marek Pocięcha

18.IX. w Osimo we Włoszech Wschodnich odbyły się uroczyste obchody z okazji 300 rocznicy śmierci św. Józefa z Cupertino, którego relikwie powróciły do tej miejscowości po odbyciu dłuższej pielgrzymki po ważniejszych ośrodkach Apulii. W obchodach tych w.łal udział kardynał Cento, który odprowadził mszę św. oraz wielość okolicznościowe kazanie. Odbędzie się Triduum, podczas którego prowincjałowie trzech galeji francusko-italijskich przewodniczyli poszczególnym obrządkom liturgicznym. Jak wiadomo 300 rocznica śmierci św. Józefa z Cupertino została uczczona przez Pawła VI w Jego liście papieskim Mirabilis Deus z dnia 27.VI. br.

Listopadowe kolory

Miesiąc listopad pomalowa no stanowczo na czerwono. Śmierć, grób, czyścić — to przedśmonek, a właściwie tylko próg — próg do Życia. Nikt nie zatrzymuje się na progu, a tym mniej na nim mieszka. Progu nie liczy się do metrażu mieszkaniowego.

Bierzemy zatem pędzle wiary i malujemy na nowo ten ostatni miesiąc roku kościelnie go. Tak, jak to czyni liturgia Kościoła. Ona widzi lepiej i dalej, niż nasze ludzkie zrenice. Malujemy barwami tęczy. Nie bójmy się „nowocześnie” zestawienia kolorów, kontrastowych farb: złota, fioleto, zieleni, purpury. Na przykład żałobnym tradycjom.

Złoto uderza nas już u samego progu: pierwszy listopad mieni się blaskami chwały Wybrańcy — uroczystości Wszystkich Świętych. „O to „współny” ich dzień Narodzin dla nieba.

Oni już się zdążyli narodzić po raz drugi. Nas dopiero czekają to powtórne Narodziny. Nasi Bracia i Siostry oczekują nas w nastroju weselnym, ale nie bezczynnym. Ich wstawianictwo ma dla nas ogromne znaczenie. Mają wobec nas poważne zobowiązania płynące ze wspólnoty Krwi Chrystusowej, płynącej w naszych żyłach. Wszak należymy do Obcowania Świętych. A P. Jezus obiecał i nam: „W

Domu Ojca mego mieszkać jest wiele”.

Nasza więź z Nimi wyraża się w fiolecie tęsknoty: „Ucieszyła mnie wieść pożądana — idziemy do Domu Pana...” To oczekiwanie nie ma nic wspólnego z czczym sentymentalizmem. Tęsknota ludzi kościoła ma rodowod naukros teologiczny — wywodzi się w prostej linii z wiary — z mocnego, niezachwianego, prześwieconego łaską aktu wiary.

Nie tęskni się za czymś, co nie istnieje, ani za czymś, co nie jest godne pożądanego. „Jak cieleś za źródłem wód — tak dusza moja tęskni za Tobą, o Panie Zastępów...” śpiewa Psalmista. A z ust św. Jana Apostoła wyrwa się, wolania: „Przyjdź, Panie Jezu, przyjdź...”

Zieleń nadziei, ufności w osiągnięcie szczęścia wiecznego, które stało się już udziałem Wybrańcy, opiera się na drugiej enocie teologicznej, a wyrasta z zasług Męki i Zmartwychwstania Pana naszego J. Chrystusa. Ta ufność zdaje się drążyć samej nawet śmierci: „Gdzie jest o śmierci, ościę Twój? Gdzie jest zwycięstwo twoje?”

Św. Paweł nie kryje się bynajmniej z tym, że śmierć będzie dlań „zyskiem”, a nie wierzącemu staroście Festusowi głosi odważnie dogmat Zmartwychwstania, na którym

opiera się jego niezachwiana ufność. I my jak Apostoł Narodów — „nie mamy tu miejsca stałego, ale innego szukamy” Jedyne zielone światło nadziei oznacza drogę wolną do ojczyzny.

Listopadowa purpura tłu maczy nam nie tyle barwę ognia czyscowego, w którym spalają się niedoskonałości dusz zbawionych, ile czerwien Boskiej Krwi Jezusa Chrystusa, dzięki której zostały uratowane od wiecznej zguby.

Na każdej z tych dusz perli się drogocenna kropla zławczy odkupienia nie ziotem ani srebrem, ni drogimi kamieniami, lecz Przenajświętszą Krwią Baranka bez winy — jak świadczy św. Piotr. Ojciec Niebieski nie uznaje żadnej innej ceny przebłagalnej za grzech.

Mamy też czerwien ognia. Dogmatyka katolicka słusznie mówi o prawdziwym ogniu czyscowym, choć w tym życiu dokładnie jego natury pojąć nie zdołamy. Jedno wszak że zdaje się być pewne — że istotnym składnikiem tego ognia jest miłość.

Tylko i jedynie miłość zdolna jest przygotować dusze, które zeszy z tego świata w stanie łaski uświęcającej — na wieczne Gody miłości. Wszak „Bóg jest Miłością” i żaden inny element duchowy ludzki a tym bardziej materialny nie jest w stanie przysposobić duszy do życia w miłości. Kochać — to cierpieć. Związca gdy przedmiot naszej wiel-

kiej miłości został boleśnie zraniony przez nas samych. Gdy oddaliliśmy się od niego znacząco z naszej własnej winy. Gdy czas połączenia się z Ukochanym jest jeszcze odległy, bośmy od niego odeszli. Rozdarta rana musi boleć, lecz mimo to pozostanie raną miłości. Miłości oczyszczającej, wynagradzającej, leczącej, uświęcającej. Zwolna będzie zanikać w niej ból i cierpienie, w końcu pozostanie już tylko pokój i szczęście. Miłość oczyszczająca przemieni się w miłość uszczęśliwiającą.

Ostatnim kolorem listopadowym jest czern. Zważmy do Erze: ostatnim. To czern żałoby, smutku rozłąki. Symbol ludzkiego uczucia.

Czasem zbyt ludzkiego. Mo że zauważyliśmy już, że delikatny czarny pasek na złocistej ramce kolorowego obrazu robi bardzo interesujące wrażenie. Ale to tylko ramka. Tak właśnie czyni Kościół wprowadzając do liturgii żałobnej barwę czarną. Sama zaś liturgia zmarłych kipi życiem, nastrojem, nadzieją, triumfem. Teksty mówią za siebie:

„Życie przemienia się tylko — nie kończy...”

„Kto pożywa Ciało mego i pije Krew moją, ma żywot wieczny w sobie...”

„Kto wierzy we Mnie — choćby i umarł — żyć będzie...”

„Błogosławieni umarli — którzy w Panu umierają...”

A więc: nawet czern jest prześwieconą złotem.

Ks. Fr. Grudziok

CZY OPOWIADAŁ O ŻYCIU POZAGROBOWYM Z AUTOPSJI?

Słyszy się często, jak ludzie słabo wierzący lub w ogóle niewierzący wyrażają tego rodzaju „pobożne” życzenia: „Latwiej byłoby wierzyć w niebo i w całe życie pozagrobowe, gdyby ktoś stamtąd wrócił po śmierci i opowiedział”.

Ludzie ci zapominają o tym, że przecież był ktoś, któremu było danym znaleźć się w wieczności, a potem przebywać na ziemi jako żywy wśród żyjących. Chodzi o Łazarza, którego przywołał Chrystus do życia na czwartą dzień po śmierci. Łazarz wprawdzie niewiele mógł opowiedzieć swoim najbliższym o wrażeniach z tamtego świata. Z pewnością Maria z Martą na próżno wypytwały o szczegóły. Poza kilkoma bliżej nieokreślonymi ogólnikami, niczego więcej nie mógł powiedzieć. A to dlaczego? Przecież dotknął osobiste, wieczności; doświadczałnie stwierdził, co znajduje się po tamtej stronie tajemniczej kurtyny, którą jedynie ręka śmierci podnosi.

Łazarz po prostu nie znalazł odpowiednich słów, który mi mógłby wyrazić to, co widział. Na „tamtych” świecie

było dla niego wszystko jakąś bezwzględna nowością. Wszedł w krainę życia, gdzie operuje się zupełnie innymi, niespotykanymi na ziemi kategoriami. A zatem wszystko trzeba było od nowa określać, ponazywać, aby móc potem opowiedzieć. Ale jak opowiedzieć człowiekowi niewidomemu od urodzenia o kolorach, których przecież nigdy nie widział. Dotyk, słuch czy węch nic tu nie znaczą. Brak możliwości jakiegokolwiek porównania. W podobnych trudnościach musiał się znaleźć i Łazarz. To, czego doświadczył poza grobem, nie mogło być porównane z żadnym ze spotykanych ziemskich zjawisk.

Św. Paweł, powtarzając za Izajaszem, pisze: „Ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce ludzkie nie wstąpiło, co gotował Bóg tym, którzy Go miłują”. (I. Kor. 2. 9.) To zdanie rzuca nam jeszcze więcej światła na sprawę łazarzowego milczenia. Tego bowiem, czego jego oko jeszcze nigdy „nie widziało”, język nie był w stanie wyrazić. Superlatywowe przymiotniki sygnalizowały jedynie niewyraźność tego, „co gotował Bóg tym, którzy Go miłują”.

Nie należy sądzić, że zja-

wienie się wśród nas któregoś ze zmarłych przodków przyczyniłoby się aż tak bardzo do intensywności wiary wśród żyjących na ziemi. Choć dził przecież wśród ziemian ktoś, kto nie tylko był w gościeńcu w „zaświatach”, ale był Gospodarzem „wzgórz wiekuistych”. Czy wszyscy ludzie uwierzyli?

Dlaczego Jego cuda dla wielu nie wystarczały za dostateczną legitymację prawdziwości posłannictwa? Dlatego, bo do wiary potrzebna jest jeszcze dobra wola, która wy-

chodzi na spotkanie Łaski. Dopóki tej woli ktoś nie okaże, nie może być mowy o prawdziwej, nadprzyrodzonej wierze.

Jakże dosadnie wyraził to Pan Jezus w przypowieści o bogacz i Łazarzu: (Łuk. 16, 19) Na próżno potępiony bogacz błaga Abrahama, aby posłał Łazarza na ziemię z użyciem dla żyjących tam jeszcze jego braci. Odpowiedź brzmiała: „Mają Mojżesza i Proroków. Jeżeli ich nie usłuchają, choćby kto z martwych powstał, nie uwierzą”.

Ks. A. Skrobol

Z zapisków Jana XXI

Rok 1932, 6 lipca, Niedziela.

Z Polakami. Rano, w ich kościele przy ul. St. Honoré (Paryż), Msza uroczysta połączone z poświęceniami 8 nowych kapłanów z seminarium (połskiego). Po południu obiad z nimi i ze wszystkimi w seminarium, przy ulicy des Irlandais. Zawsze odnajdują tam atmosferę drogi i wzruszającą. Gdy myślę o przeszłości i teraźniejszości katolickiej i chwalebnej Polski, głęboko wzruszenie przenika mi duszę; konsekrując na kapłanów te nowe kwiaty, które, oby Bóg nie dopuścił, aby miały

zostać zbiorzone krwią, doznałem czegoś, co jest równo cennie wielkim zadowoleniem i mistycznym ofiarowaniem ich i mnie. W czasie przemówienia oddałem honor liczącemu osiem: 8 kapłanów, 8 błogosławieństw, 8 lat mojej służby we Francji, 8 cnót teologicznych i kardynalnych z cierpliwością, posąg chrześcijańcy w Bergamo. —

Me'chicki greko-katolicki arcybiskup Jean B. soul z Libanu celebrował przed swym wyjazdem na Sobór w kościele w Fordsburg w Afryce Południowej mszę św. w języku angielskim. Duchowień s wu obrządku me'chickiego przyjął prawo odprawiania nabożeństw w miejscowych językach.

SPLACONY DŁUG

Do Hannoveru dostaliśmy się we dwójkę, jako uciekinierzy z Dachauowskiego obozu koncentracyjnego. Oczywiście szczęścia do wolności spróbowaliśmy nie z za ogrodzenia obozowego. Do tego zabrakło nam odwagi. Wyzyskaliśmy moment wyjątkowy nadający się do przeprowadzenia takiej akcji.

W ponurą noc przewożono nas niewiadomo dokąd i po co? Różne przypuszczenia snu li optymiści. Nie wszyscy jednak podzielali ich zdanie. Przez szparę starego towarowego wagonu z trudem dostrzegliśmy wysokopienny las. Od silnego pchnięcia fragmety dwóch desek, odpowiednio przygotowanych w czasie drogi, odłamują się na zewnątrz. Równocześnie we dwóch próbujemy się przepchnąć przez wyrwę w ścianie. Mocnym odpechnięciem zegnamy pędzący pociąg. Poszło to tak gładko, iż stojący w długim rogu wagonu strażnik nie zdążył się zorientować w sytuacji.

Wpadamy wprost do rowu biegnącego obok szyn kolejowych. Korzystamy z jego osłony. Coś jednak musiało nas zdradzić, skoro zaraz odezwała się broń maszynowa, a światła reflektorów zaczęły patrolować leśny teren. Pociąg jednak pomknął dalej, a z nami pozostało mocno bijące serce.

Przemundurowanie, ucalowa nie numeru więziennego — chowamy go w kieszeniach na pamiątkę. I co dalej? W jakim kierunku naszą nadzieję ocalenia? Obcy teren, obcy ludzie, nieznane bliżej położenie!

Zdobynamy pierwsze informacje. Do Hannoveru mamy trzydzieści kilometrów. Znaczna część miasta znajduje się w ręku aliantów, lecz w niektórych dzielnicach trwały jeszcze krwawe walki.

Podejmujemy ryzyko przedostania się przez front. Pierwszy raz w życiu przeprowadzamy taki eksperyment. O zmroku zbliżamy się do miasta. Na tyłach pozycji niemieckich, pod gruzami budynku, odkrywamy wejście do piwnic. Wewnątrz ciemno, wszystko jakby przygotowane dla nas. Wchodzimy do środka. Zmeczni śladamy przy jednej ze ścian, oczekując, co będzie dalej.

Tymczasem niemieckie oddziały, mocno napierane przez Aliantów, szybko wycofywały się, nie mając wiele czasu na dokładne przeglądanie wszystkiego, co opuszczały. Nie byliśmy więc zaskoczeni, kiedy naderhanem zobaczyliśmy u wejścia uzbrojonego Murzyna wołającego donośnie niepoprawną angielszczyzną: „Jest tu kto?” Wyszliśmy na dzienne światło. Odprowadził nas do pro wizorycznej kancelarii, gdzie spotkalismy wielu Polaków w wojskowych mundurach. Ci ostatni dopomogli nam do tego, że po niedługim czasie uznano nas za ludzi bez podej-

rzanych intencji. Wszystko szło nadspodziewanie szybko i łatwo. Umieszczono nas w opustoszałych mieszkaniach.

Po kilku dniach miasto jakby obumarłe nabrało ponownie życia. Sami czuliśmy się teraz nieco lepiej. Jednego dnia wybraliśmy się we dwójkę do kościoła celem podziękowania Bogu za ocalenie życia, za udaną ucieczkę. Świątynia, do której weszliśmy, miała na sobie ślady działań wojennych. Na posadzce leżało w beładzie sporo gruzu. Ze sklepienia spadały znaczne części tynku. Strop jednak i ściany wytrzymały wstrząsy wywołane wybuchami pocisków. Ciszę świątyni zakłócał wiatr, który przelatywał swobodnie do wnętrza przez wszystkie okna pozbawione szyb.

Zmówiliśmy pacierz, ten który znaliśmy jeszcze z katechizacji naszych matek. Pomodliliśmy się i za nie, nie wiedząc, czy jeszcze żyją? Po chwili z bocznych drzwi wyszedł ksiądz w szatach liturgicznych i rozpoczął Mszę św. Pozostaliśmy na całej. Tak dawno nie mieliśmy jej. Po Mszy św. ksiądz od ołtarza zwrócił się do nas dwóch — bo nikogo innego nie było w tym czasie w kościele — zapraszając do siebie na herbatkę.

Wprawdzie z niemieczką nie było u nas najlepiej, niemniej jednak w obozie nabraliśmy już pewnej wprawy w konwersacji. To teraz przewdalo się nam bardzo. Po wyjściu ze świątyni przedstawiliśmy się, opowiadając przy okazji nasze ostatnie tragedie. Wiadomość, że jesteśmy Polakami, ucieszyła księdza i tym chętniej prowadził nas do swej jadalni. Przy śniadaniu opowiadał nam o swoich stosunkach z Polakami w czasie ostatnich paru lat.

— Wiele razy — mówił nam — przechodziłem do mnie młodzi Polacy z Polkami, prosząc mnie o asystowanie przy ich ślubie. Wiadomo zaś, jak takie rzeczy były oceniane w kołach Gestapo i jakie to za sobą pociągało konsekwencje. Jednak, choć z pewnym lękiem, machałem na to wszystko ręką, brałem ich przed ołtarz i tam wobec Boga ślubowali sobie wierność małżeńską. Z czasem nawet ustaliła się nieoficjalna opinia wśród Polaków, że z takimi kłopotami to do mnie. Nikomu z nich nie odmawiałem tej posługi i dzięki Bogu nie było żadnej „wpadki”.

Onieśmienieli trochę słuchaliśmy tych zwierzeń.

Po posiłku podziękowaliśmy za wszystko i udaliśmy się wprost do naszej kwatery. W sercu jednak czuliśmy, że musimy w jakiś sposób temu życziwemu dla nas kapłanowi spłacić dług wdzięczności. Pytanie tylko, jak?

W ciągu kilku dni w mieście odszukaliśmy sporo rodaków. Jednego popołudnia umó-

wleni zebraliśmy się na wspólną naradę, na której przedstawił w kilku zdaniach historię śniadania u wyżej wspomnianego księdza, a następnie podsunęliśmy projekt wyremontowania wnętrza świątyni, która znajdowała się pod jego opieką. Zrobimy to zupełnie bezinteresownie, aby pokazać, że potrafimy być wdzięczni za okazanie nam w niedolę serca. Szybko doszliśmy do zgody. Przy tej okazji jeden z uczestników zebrania po twierdził prawdziwość słów niemieckiego kapłana.

W uzgodnionym czasie zjawiliśmy się na plebanii z narzędziami do wywołania gruzu oraz z ciężarowym wozem, który wypożyczyliśmy z jed-

nostki wojskowej. Z dobrze zaopatrzonego w szkło magazynu, który oszczędził działania wojenne, przywieźliśmy wystarczającą ilość szyb do oszklenia wszystkich okien kościoła. Robota szybko szła naprzód, a kościół wracał do dawnego stanu.

Roboty zakończyliśmy żałobnym nabożeństwem za wszystkich poległych naszych kolegów. Pamiętam, wtedy wielu miało łzy w oczach.

Odjeżdżaliśmy stamtąd w poczuciu spłaconego długu. Mieliliśmy tę świadomość, że należymy do ludzi, którzy umieją dobro nazwać dobrem, niezależnie od tego, z czyjej ręki ono by pochodziło.

G. Swierczewski

Nie rozumiem

Tak słyszałem w czasie mojej pogrzebowej. Nie rozumiem, mówił ksiądz, jak można tak cierpieć i cierpieć przez lata.

Znaliśmy naszego brata, który odbywał ostatnią ziemską drogę, znaliśmy go, jak przed laty, młody i rozśpiewany, rwał się do życia. Grał na swoim akordeonie, bawił innych, potodny, szerzył wokół siebie radość. — I właściwie w usposobieniu jego nic się nie zmieniło, gdy był przetruty do łoża jak rzeczą, sparaliżowany, bezwładny. Wiemy, że na swój los nie narzekał, mówił zresztą o nim niechętnie, za to miał umysł otwarty na wielkie i małe sprawy, które zdarzają się w kościele i blisko, w małym kręgu jego rodziny. Co przynosi radio i gazeta, jakie mecze rozgrywają się na stadionach, co w Kościele się dzieje, czym żyje parafia, gdzie są księża, których znał z blisko — te i wiele innych rzeczy go zajmowało.

Wdzięczny za odwiedziny wiatał wchodzących dobrym słowem — nie mogąc podać ręki, i prosił o pamięć. Każde słowo z zewnątrz przyniesione kosztował jak chleb, jak lekarstwo i wracał do niego w godzinach samotności. Po przeszło 5 latach szpitala — wreszcie znalazł się między swoimi, w swoich ścianach, na swoim łożu, a wtedy tym silniej odżyły wspomnienia niedawnej przeszłości — nie na to jednak, aby porównywać i narzekać na los. Chętnie towarzyszył wyobraźni swoim kołom, którzy „pożytecznie służą społeczeństwu i korzystają z praw młodych lat”.

U chorych różnie bywa — stwierdza obserwacja. Tak już jest, że chory zasklepa się często w swoim małym świecie, gdzie sam staje się ośrodkiem; koło niego układają się wszystkie sprawy. Z wysiłkiem wyrywa się poza ciasne koło i trudno mu myśleć szeroko. Wtedy staje się człowiekiem małym. Wpatrzony w swoje położenie nie ma nieraz dość siły, aby objąć okiem ducha armię cierpiących, dotkniętych chorobą, kalek. A to powoduje przygnębienie i niejednokrotnie

narzekanie. Bywa, że chory staje się bardzo trudnym do zniesienia, ma wielkie wymagania, tyraniżuje otoczenie. Kiedy w dodatku brak jest wiary czy zdolności pojmowania cierpienia — na usta chorego cisną się słowa przekleństwa lub rozpacz. Tak być może.

Tak nie było u naszego śp. H. Pilorza. Obcą mu była skarga, nieznana apatia. Najbliżsi, którzy wprawdzie nie szczędzili wysiłków, by znosić uczynić stan sparaliżowanego, który ręką nie podnosił, nogą nie ruszył i nie mógł zmienić pozycji w łóżku — nie słyszeli wyrazu bólu lub zarzutu na brak opieki lub na brak czasu dla niego. Nieuleczalnie chory musi pożegnać się z nadzieją wyzdrowienia. Podczas gdy w innych chorobach — choć bolesnych i poważnych — zawsze światła w oddali dzień powstania z łoża i powrotu do czynnych, zdrowych ludzi, do życia bogatego w różność form i w ruch — nieuleczalnie zamknął drzwi nadziei i musi zgodzić się ze stanem, z którego wyzwoleniem będzie śmierć. To chyba jest bardzo ciężkie.

W tym leży wielkość nieznanego, cichego bohatera, jakkolwiek nie odznacza się tego rodzaju wielkości ducha orderem. Może podobnych jemu jest wielu, ale ten wypadek zmusza do refleksji. Czy można doszukać się źródeł takiej mocy? Może dał mu dom rodzinny głęboką wiarę, której cierpienie nie spłyciło, ale raczej pogłębiło, aż okazała się oparciem przez lata doświadczenia. Może na stopniach ołtarza wyprosił sobie to męstwo, kiedy w chłopięcym wieku służył do Mszy św., choć nie wiedział o tym, że trzeba mu będzie dużo hartu woli i zaparcia siebie. Może Komunia św. była mu chlebem mocnych, bo w odwiedzinach miesiecznych przychodził do jego łoża kapłan z Najświętszym Sakramentem, „aby Ciało Pana naszego Jezusa Chrystusa strzegło duszy jego na żywot wieczny”.

(patrz str. 8)

W przededniu burzy

Politianus do papieża Innocentego VIII:

"Czy możnaby dostrzec u kogokolwiek bądź większe skupisko cnót, aniżeli u naszego młodego kardynała? Pisząc o tym, nie pragnę ani iść za popędem serca, ani też schlebiać wyborowi Waszej Świątobliwości. To, co piszę, wiadome jest wszystkim... Od kołębki już zajmował się służbą świętemu Kościołowi, na którą zresztą jeszcze przed urodzeniem przeznaczyl go ojciec..."

Pochwały te odnoszą się do Jana Medici, drugiego syna księcia Wawrzyńca „Wspaniałego”, słynnego opiekuna wiedzy i piękna we Florencji. Jeszcze nienarodzonemu, wola ojca wytyczyła drogę kariery w służbie Kościoła. Zamiłowany w pięknie, zapewnił synowi najlepsze wykształcenie, a swymi wpływami odpowiednio szybki awans. Urodzony w 1475 roku, w ósmym roku życia został opatem bogatego francuskiego klasztoru Font Douce, a już kilka miesięcy później równocześnie także opatem włoskiego klasztoru Passignano. Kiedy liczył lat trzy naście, zamianowany został przez papieża Innocentego VIII kardynałem. Szczęściem młody kardynał był w sporej mierze takim, jakim go opisywał Politianus w liście. Niestety, rzadko można to było odnieść do wielu innych kilku nastoletnich biskupów, arcybiskupów i kardynałów końca XV i początku XVI wieku...

Z tej garstki faktów łatwo dostrzec główne schorzenia Kościoła u progu czasów nowożytnych. Obsadzano stanowiska kościelne ludźmi, którzy z powodu wieku, odległości a nierzadko i braku zalet moralnych, nie mogli sprawować swego urzędu. Najczęściej nigdy w życiu nie byli w podległym sobie klasztorze lub diecezji. W sarkastycznym powiedzeniu Erazma z Rotterdamu, że na to, by zająć w którymś z krajów europejskich wybitniejsze stanowisko kościelne, nie wystarczają zdolności, praca i zalety charakteru, ale trzeba być przynajmniej stajennym u któregoś z dygnitarzy, jest wiele przesady, ale zawiera się tak że i szczypta prawdy.

Nieraz jednej i tej samej osobie przyznawano kilka stanowisk kościelnych równocześnie, z tym, że łączność z nimi polegała najczęściej na pobieraniu dochodów, nie zaś na wkładzie pracy...

W sierpniu 1492 roku zebrał się kardynałowie w konklawe, ażeby po śmierci papieża Innocentego dokonać wyboru nowego namiestnika Chrystusa.

W czasie nabożeństwa otwierającego konklawe biskup Leonello Chiericati wygłosił przemówienie. Błagał wyborców, by w obliczu poważnych niebezpieczeństw, zagrażających Kościołowi, zwłaszcza wobec narastającego nieposłuszeństwa względem Stolicy Apostolskiej, skupili głosy na mężu cieszącym się nienaganną opinią, który by odznaczał się rzutkością w rządzeniu, głęboką wiedzą, a przede wszystkim zaletami charakteru i świętością życia.

W dwa dni później piętnastoma głosami na 20 głosujących wybrano dotychczasowego kardynała kanclerza, Rodrygo Borgię. Był uzdolniony, zamiłowany w sztuce i posiadał talent rządzenia. Niestety, na tym kończyły się jego zalety. Prawość charakteru nie była jego siłą. U współczesnych nie cieszył się najlepszą sławą. A jeszcze gorsza otaczała czworo jego dzieci.

Siedemnastoletni kardynał Medici nie oddał swego głosu na kardynała Borgię, który po wyborze przybrał imię papieża Aleksandra VI.

Konklawe z 1492 roku mówiło o sobie. Z kurii rzymskiej nie działało się najlepiej. Zdarzało się, że następcy św. Piotra w tych czasach byli uczeni, opiekowali się wiedzą i sztuką — tak, że Rzym za ich rządów stał się ośrodkiem kultury w Europie. Kościół jednakże potrzebował w mniejszym stopniu papieża uczonych i mecenasów sztuki, a w daleko większym papieża świętych, oddanych ciałem i duszą jego potrzebom.

A oto rok 1494. Kardynał Medici ma lat dziewiętnaście i wraz z innymi Medyceuszami uchodzić musi z rodzimej Florencji. W mieście wybuchło powstanie. Na jego czele stanął przeor dominikańskiego klasztoru San Marco: Girolamo Savonarola. Był szczupły, kościsty, o wiecznie bladej twarzy. W gwałtownych, rozpalających lud przemówieniach, groził zbytek, występne życie i przywiązanie do wygód — tak typowe człowiekowi końca XV wieku. Biczem słów nie szczędził duchowieństwu. Smażał nawet samego papieża. Urabiana jego słowami, Florencja zamienia się w jeden wielki, przymusowy dla wszystkich klasztor. Nastroje ludu są jednak zmienne i płynne. Uwielbiany, otoczony czcią ludu zakonnik, za upór i nieposłuszeństwo wykluczony został przez Aleksandra VI z Kościoła; a wtedy, opuszczony przez lud, skazany przez władzę miejską, został uduszony i spalony na stosie.

Przeor klasztoru San Marco

żądał reformy Kościoła. Mówiono o niej wtedy powszechnie. Nie zawsze słowo to kryło tę samą treść. Byli tacy, którzy szczerze pragnęli odnowienia Kościoła i dostosowania jego pracy do potrzeb tamtych czasów. Ich żądania były szczerze, ale liczyły się także z realnymi możliwościami. Takim był prymas Hiszpanii, kardynał Ximenes. Nie mówiąc wiele, przeprowadził w swoim kraju odnowę życia kościelnego. Dzięki niemu w głównej mierze, Hiszpanię ominęły wiry reformacji.

O reformę wołali także tacy, jak Savonarola. Ich szczerze, ale nierozważne i kraincowe nawoływania skazane były z góry na brak posłuchu.

Zdarzali się i tacy, dla których słowo „reforma” było sloganem, kryjącym osobiste ambicje i sprawy. A bodajże czy tych ostatnich nie było najwięcej...

10 maja 1512 roku, w bazylice przy Lateranie w Rzymie, papież Juliusz II otworzył obrady 18 soboru powszechnego (V laterańskiego). Generali augustynów, Egidiusz z Viterbo, wygłosili przemówienie programowe. Chwalili zbrojne wyprawy, podejmowane przez papieża — Juliusz częściej nosił hełm od tiary — ale podkreślił z naciskiem, że potrzebom Kościoła nie podoła siła oręża. Siłą ducha Kościół stał się wielki. Zadaniem soboru musi być zatem mobilizacja tej właśnie siły.

Cóż, kiedy sobór był słaby. Już zwołanie tego zgromadzenia przyszło z trudem. Od czasu, kiedy sobory w Konstancji i Bazylei uczepliły się twierdzenia, że sobór jest wyższy od papieża, w Rzymie z ogromną niechęcią odnoszono się do tej instancji. Dopiero nacisk królów: francuskiego i niemieckiego, poparty groźbą zwołania soboru bez papieża, skłonił Juliusza do zapowiedzenia V soboru laterańskiego. Nie za pobiegło to utworzeniu przez króla Francji „antysoboru” w Pizie. Dlatego w obradach soboru w Lateranie brali udział prawie wyłącznie biskupi włoscy i to w liczbie nie przekraczającej setki. Obrady przedłużyły się. W Europie nie przywiązywano do nich większej wagi.

37 letni kardynał Medici nie był świadkiem rozpoczęcia obrad. Przebywał w niewoli francuskiej, po klęsce wojsk papieża Juliusza II.

Ratunkiem dla Kościoła były nierzadko obrady soborów. Ten sobór nie mógł się nim stać. Otoczony nieufnością, miał zwężone pole działania. Do tego nie miał ogólnego posłuchu. Łatwo można było przewidzieć, że i to, czego dokona w skromnych granicach możliwości, przejdzie bez większego echa...

21 lutego 1513 roku był ostatnim dniem życia Juliusza II. 11 marca tegoż roku kardynałowie obwieścili ludności Rzy-

mu wybór nowego papieża. Został nim 38-letni kardynał Jan Medici. Od tej chwili aż do zgonu (1521) występować będzie pod imieniem Leona X. 15 marca otrzymuje święcenia kapłańskie, dwa dni później sakrę biskupią, a po kolejnym dwudniowym odpoczynku — tiarę. Będzie ją nosił krótko, ale w najbardziej dla Kościoła przełomowych latach drugiego tysiąclecia. Będzie ją nosił go dnie, nawet cien zarzutów stawianych jego poprzednikom nie padnie na jego pontyfikat. Przejdzie na zawsze do historii jako jeden z największych mecenasów sztuki. Ale ten do bry, szlachetny, światły, wychowany na piękno syn Wawrzyńca Wspaniałego, będzie za słaby, ażeby stanowczo i mocno uchwycić ster Kościoła i bezpiecznie poprowadzić go poprzez nawałnicę, rozpętaną teżami zakonników augustiańskiego z Wittenberga.

Deską ratunku mógł być wyjątkowy pontyfikat, gdyby papieżem został ktoś o jasno wytykniętym celu i charakterze Grzegorza VII, dalekosiężnym umyśle Mikołaja I. Leon X nie był człowiekiem tej miary i to nawet w przybliżeniu. Tak więc rozwiąły się resztki nadziei na zmiany, które by w ostatniej chwili powstrzymały to, co miało nadejść.

W tym samym, 1513 roku kanonicy archidiecezji magdeburskiej wybrali arcybiskupa 23 letniego księcia Albrechta Brandenburskiego. W następnym roku wybrano go także arcybiskupem mogunckim. Do tego wyboru zmusiło kanoników mogunckich widmo ruiny finansowej diecezji. Za każdym wyborem trzeba było przesyłać na ogólne potrzeby Kościoła opłatę pokładną wysokości do Rzymu. Nierzadko dla skarbów diecezji w poprzedzającym dziesięcioleciu aż trzykrotnie przystępowano do elekcji. Przed kolejnym wyborem, Albrecht zobowiązał się pokryć opłatę z własnych funduszy. Równocześnie zarządzanie dwoma diecezjami było jednak zakazane przez prawo kościelne.

Papież Leon X potrzebował pieniędzy. Głównie na dalsze prace przy rozpoczętej przez poprzednika budowie ogromnej bazyliki św. Piotra w Rzymie. W roku 1514 ponowił odpust zupełny przywiązany do ofiary pieniężnej na rzecz budowy. Był gotów zgodzić się także na połączenie obydwojch biskupstw w rękę Albrechta, ale za odpowiednią opłatą. Była ona tak wysoka, że przekraczała możliwości arcybiskupa. Umożliwiono mu jednak spłatę. Miał zorganizować sprzedaż odpustu na ziemach niemieckich, a połowę wpływów przekazać do Rzymu, drugą zaś zatrzymać dla siebie i z niej spłacać należność. Spłacił ją zresztą zaraz, zaciągając pożyczkę u Fuggerów, najbogatszej wówczas niemieckiej rodziny bankierskiej, (dok. obok)

(dok. ze str. 4)
dopuszczając ją do udziału w
zyskach ze sprzedaży.

Odpusty to wielowiekowa
tradycja w Kościele. Już w
początkach drugiego tysiącle-
cia łączono je sporadycznie z
ofiarami pieniężnymi. Leon X
nie wprowadził nic nowego.
Teoretycznie nie było w tym
wszystkimi nie droższego. Ina-
czej miała się rzecz w prakty-
ce. Kaznodzieje odpustowi
świadkami byli zadań, które im
stawiano; lud zaś nie wdawał
się w teologiczne doriekania
i nie rozdzielał włosa na czwo-
ro. Brał sprawę tak, jak mu
ją zazwyczaj przedstawiano w
praktyce — że monetą wku-
pić się można w łaski Boga
i opłacić udział w szczęśliwo-
ści wiecznej. Oczywiście: nie
brakowało głosów przedstawia-
jących sprawę właściwie. Nie
wytrzymywały one jednak kon-
kurencji poglądowych wspania-
łości, urządzanych po koście-
lach przez sprzedawców: bicia
w dzwony, uroczystych proce-
sji, sugestywnych kazań, wznos-
zenia okolicznościowych krzy-
ży...

Zanik pobożności ludu i
wzrastająca zawiść władców,
świadomych odpylających z
ich krajów sum pieniężnych,
musiały być żniwem tego ro-
siewu. W ten sposób pierw-
szym — a dla większości lu-
dzi głównym i decydującym
— terenem starcia reformacji
z Kościołem, miała stać się
sprawa pieniężna...

Ostatnie posiedzenie soboru
odbyło się 16 marca 1517 roku.
Obradowano już wtedy blisko
pięć lat. Na koncie soboru by-
ły poważne osiągnięcia. Zawar-
to konkordat z Francją, zlikwi-
dowano wpływy antysoboru,
wydano sporą ilość dekretów
reformacyjnych. Słabą stroną
tych uchwał była wielka ich
liczba oraz małe i niepozorne
zastrzeżenie, które zaczynało
się od słów „chyba, że”, „o ile”
lub „jeżeli nie” a kończyło
większość uchwał. Ta możli-
wość wyjątków z góry prze-
kreślała ich praktyczną war-
tość.

Po nabożeństwie dziękczyn-
nym, odczytano cały szereg

dokumentów wydanych przez
sobór i Marinus, patriarcha
Akwiły odczytał konstytucje
zakończenia obrad i rozwiąza-
nia soboru. Podkreślono, że
sobór wykonał swoje zadanie,
że w Kościele i we współżyciu
Kościoła z władcami państw
panuje harmonia i zgoda, a
ponieważ wszystko zostało za-
łatwione i biskupi stęsknili się
za swymi diecezjami, wskaza-
nym jest zamknięcie obrad.

W marcu 1517 roku sobór
piąty laterański zakończył o-
brady stwierdzeniem, że
wszystko zostało wykonane, co
trzeba było zrobić.

W sześć miesięcy później, w
październiku 1517 roku, Mar-
cin Luter przybił 95 tez do
drzwi kościoła w Wittenber-
dze.

Ze wszechmiar błędne jest
jednak wyobrażenie, jakoby
gdzieś do XIII wieku element
ludzki w Kościele był dosko-
nałością nie wykazującą cieni,
a dopiero w XIV i XV wieku
nastąpiło gwałtowne obniżenie
poziomu życia i pracy kleru i
na tym tle zrodziły się powsze-
chne żądania reformy.

Domaganie się zmian na le-
psze w pracy Kościoła nie by-
ło właściwością tylko czasów
przedreformacyjnych. Wpły-
wało z natury ludzkiej, niez-
adowolonej z tego, co jest, a
tęskniącej za tym, co lepsze.
W przededniu reformacji zmia-
ny były jednak koniecznością.
Zmienił się człowiek, zwiększy-
ły się jego wymagania stawia-
ne Kościołowi. Metody zarzą-
dzania Kościołem i pracy dusz
pasterskiej, wystarczające w
wiekach średnich, w następ-
nym okresie nie wystarczały,
by utrzymać tę pozycję Ko-
ścioła, którą zajmował. Ten
rozdźwięk niepokojąco pogłę-
biał się coraz bardziej.

Kościół odnalazł sposób do
stosowania się do potrzeb tam-
tych czasów. Niestety, o dobre
pięćdziesiąt lat za późno.

dr Gustaw Klapuch



Jakub Manzu, Mediolan:
ŚW. KAROL BOROMEUSZ
Święto 4 listopada.

W płaszczyce tej tkwi już zapo-
wiedź słynnej galerii postaci
kardynalskich o charakterze
symbolicznym wykonanych
przez wybitnego rzeźbiarza.

Wiersze Józefa Lompy w Pawonkowskim Kancjonale

Jubileuszowy rok nauczy-
ciela z Lubszy zezwala na to,
by pochylić się z uwagą nad
każdym, choć i drobnym szcze-
gółem związanym z twórczo-
ścią tego pieśnierskiego ducha
w dziejach odrodzenia naro-
dowego na Śląsku.

Dorobek piśmienniczy Lom-
py, poza podręcznikami i po-
wieściami o Gryzeldach i Me-
luzynach, obejmuje także spo-
rą ilość wierszy, religijnych
i świeckich. W ocenie badaczy
literatury wiersze te są pry-
mitywne, chropowate i nie-
udolne i nie wykazują więk-
szej kultury artystycznej.

Ale cóż, kiedy te liche wier-
sze, mimo ich wyraźnych brak-
ów co do formy i treści,
znalazły uznanie u śląskich
odbiorców równie prostych i
małuczkich duchem. Gdzie
znajdujemy na to potwierdze-
nie? gdzie szukać świadectwa
popularności poetyckich utwo-
rów Lompy? — w śpiewni-
kach. W ludowych śpiewni-
kach, zbiorach pieśni świec-
kich, które na użytek towa-
rzystw polskich wychodziły na
Śląsku masowo, szczególnie
w latach dziewięćdziesiątych
ubiegłego wieku.

Dla przykładu wypada za-
cytować przynajmniej jeden
utwór Lompy, który jako
„Piosneczka żniwna” znany
był szerszemu ogółowi:

Wesoło się w polu pracuje,
Niechajże więc każdy pilnuje!

Niech ostrzy skłniejące się
kosi,
Niech ścina rażno złote kłosa.
Oto słońce świeci nad nami,
Ptaszka się bawia

śpiewami.
Wesoło się w polu pracuje,
Niechajże więc każdy

pilnuje.
Hojnego dawcę wychwalajcie!
Dzięki jemu za dary dawajcie!
On chętnie skłoni ucha swego
Śpiewaniu serca

dziękczynnego.

Dzień zbieży a wieczór
nastanie,

Po pracy słodkie
spoczywanie.

Pracujcież podczas dniowej
pory,

Czas bowiem jest szybki
i spory.

Zwierzęta roboty nie znają,
Ptaszki też w gumna nie

zbierają,
Lecz ludzie nie zwierzę, nie

ptacy,
Ludzie są stworzeni do pracy.

Wesoło się w polu pracuje,
Niechajże więc każdy

pilnuje,
Niech ostrzy skłniejące się

kosi,
Niech ścina rażno złote kłosa,

„Piosneczka żniwna” opubi-
kował Lompa w „Zbiorze

wierszy” w r. 1842 (zeszyt 2);
w podtytułach zaopatrzył ją in-

formacją, „z rosyjskiego”, co
by oznaczało, że poeta, który

występował także jako tłum-
macz, zrymował ten utwór na

kanwie jakiejś rosyjskiej pieś-
ni, może ludowej, zasłyszanej

przypadkowo.

„Piosneczka żniwna” zrobi-
ła niemałą karierę, bo znalazła
się we wszystkich śpiewni-

kach, tak popularnych na
Śląsku, opracowanych i wyda-
nych przez Józefa Gallusa
z Bytomia: w „Pieśniach pol-
skich używanych na Górnym
Śląsku” z roku 1893, w „Śpie-
wniku polskim” z roku 1905
i w „Najnowszym śpiewniku
polskim” wydanym około 1914
roku. Zamieszczali ją także
w swych pieśniowych zbior-
kach inni wydawcy, jak na
przykład Jan Kwiatkowski,
który opublikował ją w „Zu-
pełnym śpiewniku kieszono-
wym” z roku 1911, zawier-
ającym aż 763 pieśni. Pieśni
te stanowiły żelazny reper-
tuar polskich towarzystw na
Śląsku i niejedną z nich, czy
to krakowiaka Wasilewskiego,
czy też dumkę Zaleskiego, pa-
miętają nasi dziadkowie i oj-
cowie.

Jeszcze większą karierę, bo
nie tylko w ziemi śląskiej,
zrobiła inna pieśń Józefa Lom-
py, która znacznie wcześniej,
niemal pół wieku przed pu-
blikacjami Gallusa, trafiła do
popularnego śpiewnika wyda-
nego w Lipsku a przeznacz-
onego dla odbiorców ogólnop-
olskich. Mowa tu o jednym
z pierwszych polskich śpiew-
ników szkolnych dedykowa-
nych przez autora „wesołej
a niewinnej młodzieży na-
szej”, jak przyjemnie opiewa
podtytuł. Autorem śpiewnika
był znany działacz, pisarz,
trochę poeta i kompozytor,
Gustaw Gizewiusz.

Działal on na Mazurach w
tym samym czasie co Lompa
na Śląsku, w latach trzydzies-
tych i czterdziestych ubie-
głego wieku; nieraz jego oświa-
towe poczynania zestawia się
z pracą nauczyciela z Lubszy.
Z profesji urzędowej był kaz-
nodzieją ewangelicko-polskim
urodzonym w Piszcu, ale do
słowników i encyklopedii prze-
szedł jako niestrudzony obroń-
ca języka polskiego na Ma-
zurach, autor wielu publikacji
antygermanizacyjnych, doku-
mentujących polskość ziemi
mazurskiej i jej mieszkańców.
Pod wpływem idei romantyz-
mu, podobnie jak Lompa, in-
teresował się literaturą lu-
dową i cenil ją bardzo; zbierał
pieśni gminne, podania
i gadki mazurskie.

Przynaglony własną, wew-
nętrzną ideą, że młodzieży
naszej w ramach szkolnych
lekcji trzeba koniecznie po-
kazać znajomość polskich pie-
śni, pokonał niezliczone prze-
szkody i opory pruskich władz
szkolnych i wydał w roku
1846 swój „Śpiewnik szkol-
ny”, który, jak informują
biografowie Gizewiusza, cie-
szył się znacznym powodze-
niem. Śpiewnik zawiera kil-
kadziesiąt pieśni, przeważnie
tłumaczeń z języka niemiec-
kiego, choć nie brak i utwo-
rów rdzennie polskich, na
przykład pieśni Kochanowskie
go i Książczyny, no i Józefa
Lompy. Z tych niemieckich
przekładów niektóre pieśni
trafiły także do śląskich śpiew-
ników towarzyskich i przyjęły
się całkowicie jako pieśni lu-
(patrz str. 6)

Mamo, bądź inna

dowe, na przykład utwór L. H. Hoelty'ego, „Pocziwim zawsze, prawym bądź do samej śmierci swej”, z melodią Mozarta, tłumaczony przez J. D. Minasowicza, znanego w owym czasie profesora warszawskiego i redaktora „Tygodnika Muzycznego”.

Z twórców rymowanych Józefa Lompy wybrał Gizewiusz wiersz religijny, „Do przyrody” („Natura”), który ukazał się w trzecim zeszyście „Zbioru Wierszy” Lompy, w roku 1843, a więc w trzy lata przed wydaniem „Śpiewnika szkolnego”. Do wiersza tego skomponował Gizewiusz melodię i podretuszował miejscami nieporadne strofy Ślązaka, może i za jego wiedzą i zgodą. Naturo święta! ciebie zwierzęta leśne wysławiają. Naturo święta! ciebie ptaszęta wietrzne opiewają.

Kwiat na murawie, robaczek na trawie, cuda twe zwiasztuje.

Wszystek świat głosi twoje rozkoszy, za nie ci dziękuję.

Zawszad to brzmienie, to chwały pień: „Wielki jest Stworzyciel”.

Który jest wszędzie, na wieki będzie, Ojciec-Pocieszyciel!

Na przykładzie oryginalnego tekstu, choćby tylko drugiej zwrotki, można zaobserwować Gizewiuszowe zabiegi kosmetyczne. Oto pierwotny tekst Lompy:

Murawy głoszą poranną rosą.

Maly robak, pszczoła, Jest co zdziwienia, lecz większy ziemia głosi cud, gdy wola.

Tak więc dzięki działaczowi narodowemu na Mazurach, uroczyste dystychy śląskiego nauczyciela były znane nie tylko na Górnym Śląsku, ale w całym zaborze pruskim, na Pomorzu i w Wielkim Księstwie Poznańskim. „Śpiewnik szkolny i domowy” Gizewiusza należy dziś do białych kruków i zaledwie kilka egzemplarzy przechowało się w bibliotekach polskich.

Ale do jeszcze większych rzadkości należy rękopiśmienny odpis tego śpiewnika dokonany na Śląsku, w Pawonkowie. Ow unikalny egzemplarz znajduje się w zbiorach Biblioteki Śląskiej a pochodzi z księgozbioru Stanisława Wallisa, niestrudzonego zbieracza śląskich rarytasów piśmienniczych.

J. Kuciłanka

(dok. za 2 tyg.)

Byliśmy u wujka razem z tobą, mamo. Te kwiaty, które kazałaś mi kupić, i książkę oddałem mu szczerze. Należęmu się — natruł się ze mną, najwięcej ze mną — jednak wierzę, że mnie kochał. Chyba tak jak ty. Więc mu od siebie też podziękowałem. Ważne były wspaniałe — może właśnie dlatego, że je głęboko przeżywałem. Gdy coś między nami zaszło, parę razy powiedział:

— Ee, trafiła kosa na kamień.

Mamo — we mnie coś się zmieniło. On rzeczywiście na mnie mocno wpłynął. Teraz rozumiem, co znaczy spotkać do bregu wychowawcę. Sama mówisz, że jestem wescłszy, ochniejszy do wszystkiego. Taaak, oczywiście. Masz rację. A wiesz, dlaczego?

Nigdy nie potrafiłem zrobić tego, co zrobiłem przy nim. Tak, mogłaś mnie wcześniej tego nauczyć. Teraz czuję, że może ze mnie wyrosnąć prawdziwy mężczyzna. Ja potrafię! Mówię nieraz, czym ja będę...

Na twój list długo czekałem. Szedłem ważny na pocztę odebrać list od ciebie — już dwa tygodnie byłem na wycieczce. Ile kilometrów odjechaliśmy już od domu! List od ciebie miał być na 18-go. Przygotowałem sobie legitymację. Trochę nie wiedziałem, jak to jest odebrać list z poczty na... Jak to było? „Posss...te restannnt”. Tak.

— Czy ty chcesz być naprawdę mężczyzną? — zapytał mnie w drodze wujek.

— Ja? też pytanie. A co, czy marnie jadę? W namiocie śpie, nie narzekam na niewygodę. No i w ogóle — ja...

— Jesteś papudrak — przedrzeźniał mnie — „Ja, ja”. A po trafiliś. Na przykład, nie przeczytałaś od razu listu od mamy — tylko potem. No, niech by było po 2) minutach. Nie tak zaraz, jak piesek na żarcie. No?

Masz ci go! Zawsze coś wymyśli. Ja liczę kroki do poczty, już sobie myślę, co napi-

sałaś, jak w domu, czy włożyłaś 20 zł., a tu...

— No, bohaterze?

— Dobrze. Zobaczą wujek.

Zaciąłem zęby, żeby i w ten sposób sobie pomóc. Ja nie po trafię? Muszę. Hm, tylko najgorzej będzie na początku, gdy wezmę list do ręki. Jak to go nie otworzyć? Przecież matka do mnie pisze. Czemu nie otworzyć, po co? — Tyle pytań cisnęło mi się do głowy. Odpowiedź była jasna — trening wszędzie potrzebny. Chcę mieć silną wolę. List wzięłem prawie drżącymi rękoma. Na kopercie poznałem twoje pismo — był gruby. Na pisałaś wiele. Moje niektóre litery były rozmazane twoimi łzami. Tak kiedyś pisałaś do mnie pierwszy list na kolonie. Wybiegłem z listem w kieszeni — szybko zająłem się poprawianiem juków przy rowerach — byle zapomnieć, byle wytrzymać. List parzył mnie — czułem go przez kieszeń. Zrozumiałem, że ja ciebie kocham, mamo — jeszcze bardziej w tej chwili, kiedy zrobiłem ten akt opanowania ciekawości. Byłem pewien, że byłabyś dumna ze mnie w tej chwili. Inni chłopcy najpierw spojrzeli zdumieni, że ja nie czytam swojego, a potem pomrukiwali wymownie, podśmiewali się. Ja — nie. Jak by mnie to nie obchodziło. Snurowałem plecak przy rowerze, bo się obłądził. Czułem, że byłem wygrany. Już wytrwam — zwycięstwo! Hurra!

Przed wyjazdem z Lęborka wujaszek mi pogratulował:

— No jestem dumny z ciebie, cieszę się — a co za uśmiech jego! Było mi dobrze jak w raj. Wtedy czytałem twój list, mamo.

Powiedzieć ci jeszcze coś...? No, niech będzie. Po prostu — udawałem, ale tak porządnie. I poznał się. Gdyś tobie tak robił — nigdy nie poznałaś. Spróbowałem tak na wycieczce. Ja będę jadł taką gęstą zupę, którą Adam nacił? Powiedziałem, że od te

go mięsa z puszk, które włożyli do zupy, byłem chory, że nie mogę. Wujek, jak zwykle potraktował to z przyzwyczajeniem oka. Niczego nie przyjmuję do wiadomości. Jeść — nie ma gadania. Dobrze — za czułem żuć, trochę, tak dla po zoru. Potem odszedłem, bo się źle czuję. Zauważyłem, że trochę zwątpił. Acha, dobrze ci! Jak będę chory, to co? Będziesz odpowiadał. Leżałem w namiocie. Przyszedł do mnie. Dał krople na żołądek, pytał, gdzie boli. Trudno było powie dzieć. Nawet sam uwierzyłem, że trochę boli — tak jakoby było na żołądku. Znow przyszedł. Wypytywał, czy tylko od tej wołowiny z puszk, mnie boli. Od innego mięsa nie? A lubisz wieprzowinę z puszk, tak dobrze przyprawioną, w galarecie z wierzchu?

— Tak, lubię. Kiedyś sam prawie całą puszkę zjadłem.

Patrzył badawczo — spoważniał. Gdy wieczorem rzuciłem się na chleb z kielbasą — niespodziewanie wydał ten pamiętny wyrok:

— Romek, udajesz. Żadnych kropeł nie dostaniesz więcej. Będziesz jadł wszystko. A jeśli chcesz wiedzieć, co to jest, to ci powiem: rodzaj hysterii, wmawiasz sobie i mnie. Koniec z tym, jasne?

Jeszcze trochę próbowałem udawać smutnego, pokrzywdzonego. Na drugi dzień mi wywietrzało. Trochę się wstydziliśmy tej całej komedii. Dobrze, że mi jej nie przypomniał.

Dziwisz się, mamo, że wróciłem inny? Przestałem udawać. Poznałem, że prościej jest i lepiej bez tego wszystkiego. Mam lepszy apetyt. A właściwie dlatego jestem inny, że polubiłem ten „trening” — umiem powiedzieć sobie „tak”, choć się nie chce, i „nie”, choć się bardzo chce.

Mamo, tobie to wszystko mówię, bo z tatą prawie nigdy nie rozmawiam. On ciągle zajęty, to zmęczony. Więc chociaż ty bądź taka jak wujek. Ja wiem, że często miałaś rację. Jednak pomóż mi siebie samego wychowywać. Mamo, bądź inna.

Z. Grzegorski

Z Watykanu

Na drugiej Sesji obradującej II Soboru Watykańskiego osiągnięto w pierwszych dwóch tygodniach poważne postępy w kierunku odnowienia liturgii, którego schemat był omawiany na pierwszej sesji soborowej. W kilku głosowaniach przyjęto szereg propozycji zniesienia niezrozumiałych form liturgicznych i do stosowania całej liturgii do potrzeb współczesnego człowieka. Zastanawiano się szczególnie nad udzielaniem Komunii św. pod dwiema postaciami mi z okazji szczególnych świąt. Poważne części tekstów liturgicznych Mszy św. mają być odmawiane w języku narodowym.

Evangelie niedzielne będą

czytane nie w jednorocznym cyklu jak dotąd, lecz rozłożonym na kilka lat, aby w ten sposób wiernym umożliwić znajomość całego Pisma św.

Kazania mają być oparte o Ewangelię oraz stanowić istotną część nabożeństwa niedzielnego.

Postulowano również Mszę św. wspólną polegającą na koncelebracji Ofiary przez kilku kapłanów.

W schemacie o Kościele zastanawiano się nad rozszerzeniem władzy biskupów oraz wprowadzeniem diakonatu wśród świeckich, nawiązując do praktyki Kościoła w starożytności chrześcijańskiej.

(m)

PIERWSZA BEATYFIKACJA

Papież Paweł VI beatyfiko-

wał w bazylice św. Piotra błogosławionego Jana Nepomuka Neumanna. Nowy kandydat ra citalre jest z pochodzenia Austriakiem. Urodził się 28. I. I. 1811 r., po ukończeniu studiów teologicznych wyjechał do Ameryki. W 1852 r. został mianowany biskupem w Filadelfii. Jan Nepomuk Neumann zażył się wybitnie około katolickiego szkolnictwa w Stanach Zjednoczonych. (m)

W dniu 14 IX. rozpoczął się w auli biskupiej w Padwie proces beatyfikacji w sprawie beatyfikacji św. Bożego Ojca Leonolda z Castelnovo. W trzy dni później, zgodnie z normami dekretu reformatoryjnego procesy apostołów, śmiertelne szczytki tego św. Bożego zostały przeniesione do kaplicy specjalnie wybudowanej w pobliżu celi zakonnej, gdzie święty, na 40 lat swego życia na pokucie,

Rapsodia Śląska

Jesień obsypała stary Grod ków złotem, przetykanym szczerze zwiewną przedzą srebra babiego lata. Przyroda w ciepłym jeszcze słońcu uśmiechała się ludziom po raz ostatni w tym roku.

Pan Józef jesieni nie lubił; niewesołe narzucała refleksje, spoglądał markotnie przez okienko pocztowego dyliżansu na mijane drzewa przy drodze leśnej, z których ciepłe tchnienie wiatru strącało poźółkle i zrudziałe liście; spływały bezzwrotnie jak duże, martwe motyle.

Kiedy ściany lasu rozstąpiły się przed dyliżansem, w dali zarysowała się panorama starego miasteczka. Na widok konturów średniowiecznej bramy wschodniej i wieży kościoła św. Michała doznał silnego wzruszenia. Przy bramie tej stał jego skromny, parterowy dom rodzinny, wieża zaś przy wodzila żywą wspomnienia pierwszych wlotów artystycznych. Ileż to on się naśpiewał na chórze u św. Michała!

Pan Józef przez całe życie wielbił Boga i kochał ojczyznę. Zabytkowe świątynie i stare grody Piastów śląskich pochłaniały jego wyobraźnię od chłopięcych lat. Często więc stawał przed wykutymi w szarym kamieniu orłami, głę boko zadumany i zasluchany w przeszłość. Bo jako muzyk, nie tylko widział w wizji artysty, ale także słyszał, co działo się ongiś na tej ziemi.

Mały Śląsk, a dokazał tak wiele! W Krakowie biło serce Polski, tu pracowite ręce Henryków, Bolków i Jadowi nie szczędziły ofiarnego trudu, gdy ojczyzna była w potrzebie.

Nie powracał sam w rodzinne strony. Siedział obok niego w dyliżansie Fryderyk. W jego to towarzystwie odbył daleką podróż z Warszawy. Najmilszy uczeń i przyjaciel zarazem, Fryderyk, którego synem nazywał, namówił i uprosił nauczyciela, by raczył go „uprowadzić” do Grodkowa. Pan Józef głową odmownie potrząsał, za zdrosny niby skąpiec o każdy dzień pracy.

— Nie tęskno ci, mistrzu, za domem, by raz jeszcze spojrzeć nań z bliska, — kusił go uczeń wesoło. — Ile wiem, wszystko zawdzięczasz nadolrzańskiej krainie.

Fryderyk uknuł spisek na swego duchowego ojca za je go plecami. Widział, że ten podupada na zdrowiu, postanowił zatem wyrwać go z Warszawy, aby tam pod niebem Śląska — przeżywając wspomnienia młodości — odrodził

się. W spisku dopomagała pani Karolina, małżonka wy chowawcy Fryderyka. Nietaj ro im było, jak barodzo stary nauczyciel wzdycha skrycie za Grodkowem, z którego wyjechał mając dwadzieścia trzy lata. Zwodził ich pan Józef, zwielał z oznaczeniem dnia podróży. Na koniec poddał się. Nachmurzony, nieomul gniewny wsiadł do powozu.

Długi czas jechali w milczeniu. Za rogatkami stolicy wturzył Fryderyk podręczną torbę podróżną i wydobyl z niej ogromny termos z kawą, za którą mistrz tak bardzo zawsze przepadał. Na jej widok mistrz rozczerwiał się, a nawet roześmiał się, porzucając teatralną pozę niezadowolonego z wyprawy nad Odrę.

Do Grodkowa wjechali przez wschodnią bramę. Chopin zdumiał się wielce; nie wysiadali z dyliżansu przed rodzinnym domem mistrza. Rektor Elsner przesunął zaledwie spojrzeniem po niepokojącym budynku. Konie kazał zatrzymać woźnicy dopiero opodal kościoła.

— U nas tak zawsze — wyjaśnił krótko — najpierw do Boga.

W kościele — druga niespodzianka: mistrz pociągnął za sobą Fryderyka od razu na chór. Uczynił to pospiesznie, nerwowo.

Pan Józef zawiadnął manuałem i zaczął komponować w zapale. Musiał wyrazić melodię, które prześladowały go podczas podróży. Nie krystalizowały się w określony kształt. Była w nich treść religijna, niewątpliwie, występowały jednak wyraźnie jeszcze inne motywy.

W pewnej chwili, kiedy dźwięk organów przeszedł w najwyższe tony i niby potężne, grzmiące surmy bojowe wstrząsnął witrażami, oczy pana Józefa zabłysły zwycięsko; dzieło objawiło się w ostatecznej swej formie.

Idąc później przez wąską uliczkę Grodkowa, zerknął na Fryderyka i zagadnął przekornie:

— Podobała się mojemu synowi... nowa msza? Na powitanie rodzinnego gniazda.

Uśmiech przemknął przez twarz zapytanego.

— To nie msza, ojciec.

— Więc... co? — dopytywał tamten ciekawie.

— Rapsodia — rzekł śmiało młodzieniec. — Rapsodia ludowa — dodał szybko po chwili.

Niewiele się zmieniło w starej mieścinie od tamtych czasów, kiedy ją opuścił. Żył pocziwy Grodków odwiecz-

nym obyczajem, przy Bogu trwał i — jak ongiś — jeno w kościele a na polu, przy pracy. W ojczyściej śpiewał mowie. Serce miał polskie, choć szaty mu obce przemocą na grzbiety narzucono.

Fryderyk ze swym nauczycielem ganił się do tego ludu, by słuchać owej pieśni, co tak samo brzmiała tu pod śląskim niebem, jak na mazowieckiej ziemi.

— Rapsodia ludowa... — rozmyślał Fryderyk podczas dni nadodrzańskich, bo inne jeszcze nazwanie cisnęło mu się na usta: Rapsodia śląska. Bo czymże było życie tych

ludzi, jeśli nie Bohaterskim trwaniem w przymierzu z ojczyzną.

Nadszedł dzień odjazdu z Grodkowa. Dyliżans unosił ich do Wrocławia. Pan Józef promieniał wesoły, rozmowny i żartobliwy.

— Mistrz się odrodził — śmiały się oczy towarzysza da lekiej podróży.

*) Józef Elsner pozostawił po sobie 130 utworów religijnych; najwięcej z nich oratorium pasyjne (1837 r.) Męka Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Wyjechał ze Śląska mając 23 lata, z Chopinem zaprzyjaźnił się w 37 r. życia, będąc jego wychowawcą w konserwatorium w Warszawie.

Przykazanie miłości

Na trzy dni przed swą męką krzyżową rozprawił się Chrystus w Jerozolimie z grupą saduceuszów, wątpiących w zmartwychwstanie ciała po śmierci, dając im jasne i trafne wyjaśnienie tej kwestii. Porażką saduceuszów ucieszyli się wielce faryzeusze, którzy niechętnie odnosili się do nich, ale sam fakt zwycięstwa Chrystusa nie usposobił ich by najmniej przychylnie do Pana Jezusa, gdyż każdy jego triumf był im nie na rękę. Ten ostatni utwierdził ich jeszcze bardziej w przekonaniu, którego nabyli z częstych z nim sporów, że należy unikać dyskusji z Chrystusem, bowiem ostatnie słowo zawsze należy do niego. Jednemu z nich, uczonemu w piśmie św., tak dalece podobała się jednak odpowiedź dana przez Pana Jezusa saduceuszom, że postanowił prosić go o wyjaśnienie w sprawie żywo go interesującej.

Kodeks prawny Żydów obejmował mianowicie 613 przykazań (w tym 248 nakazów i 365 zakazów), w których niełatwo było się zorientować. Zastanawiano się więc często nad tym, które z nich są bardziej, a które mniej ważne.

— Mistrzu — zapytał ów faryzeusz — które przykazanie jest w Zakonie wielkim i ze wszystkich najpierwszym?

Pytanie to mogło niejednego uczonego wprowadzić w kłopot niemający, gdyż gdyby odpowiedź jego nie zgadzała się z poglądami innych uczonych, na daną kwestię, powstałby spór, który mógłby trwać długo i zawiłe.

Chrystus jednak nie wahał się ani jednej chwili i dając odpowiedź rozstrzygającą, powiedział, że nikt nie powiedział nie może. Rzekł mianowicie:

— Pierwszym jest: „Słuchaj, Izraelu! Pan, Bóg nasz, jest Panem jedynym. A przeto miłuj Pana Boga twego z całego serca swego, z całej duszy swojej i ze wszystkiej myśli swojej”, i ze wszystkich sił swoich”. To jest pierwsze przykazanie.

Te słowa Chrystusowe są wyjątkiem z Pisma św. Starego Testamentu. Były one

powszechnie znane Żydom, ponieważ wchodziły w skład codziennej modlitwy, tzw. „Sema”, jaką wszyscy dorośli Żydzi płci męskiej obowiązani byli codziennie rano i wieczór odmawiać. Ponadto tekst ten, przepisany na pergaminie i ukryty w małych skórzanych pudełkach, nosili w czasie modlitwy na czołach i przy lewej ręce, a także przybijali go na drzwiach domów swoich. Zwyczaj ten, nakazany również przez Pismo św., wskazywał zatem na to, jak ważnym przykazaniem jest miłość Boga. Sama zaś redakcja tekstu podkreślała jego znaczenie, gdyż serce było u Żydów siedzibą myśli, duszą centrum uczuć, siłą mocą fizyczną przy działaniu. Cały człowiek zatem, w myśl tego przykazania, ogarnięty być winien miłością bożą.

Tak krótka i jasna odpowiedź mogła w zasadzie wystarczyć uczonemu, ale Chrystus nie poprzestął na tym tylko wyjaśnieniu. Powiedział bowiem dalej:

— A drugie, podobne do pierwszego, jest: „Miłuj bliźniego swego, jak siebie samego!” Inne przykazania, większe nad to, nie ma. Na tych dwóch przykazaniach zasadza się całe prawo i prorocy.

I te słowa „Miłuj bliźniego, jak siebie samego!” — są wyjątkiem z Pisma św. Starego Testamentu. Nie były więc nieznane Żydom. Co więcej, już przed Chrystusem różni uczeni zestawiali ze sobą przykazanie miłości Boga i bliźniego. Ale dopiero Pan Jezus nadał prawdziwe znaczenie pojęciu bliźniego, pod które podciągnął wszystkich ludzi, dobrych i złych, obcych i swoich, przyjaciół i wrogów oraz postawił te dwa przykazania na czele swej nauki i uczynił je fundamentem religii chrześcijańskiej. Dzięki temu przykazania te wyodrębnione zostały spośród wszystkich innych i wyniesione ponad całą resztę przykazań moralnych.

Ta odpowiedź Chrystusa była dla przekonania jego rozmówcy, który widocznie był człowiekiem dobrej woli, gdyż odparł bez wahania:

(patrz str. 8)

— Wybornie, mistrzu! Prawdę powiedziałeś, że Bóg jest jeden i że prócz niego nie masz innego i że ponad wszelkie całopalenia i ofiary przedniejszą jest rzeczą miłować Boga z całego serca, ze wszystkich myśli i ze wszystkich sił i miłować bliźniego, jako samego siebie.

Na te słowa uczonego Pan Jezus nie pozostał dłużny za pochwałę. Słyszając jego rozumną odpowiedź rzekł mu:

— Nie jesteś dalekim od królestwa bożego — co znaczyło, że bliskim on jest duchem nauce głoszonej przez Chrystusa.

Mając tak wyraźnie przez Chrystusa określone dwa najważniejsze przykazania, które mieszczą w sobie resztą wszystkie inne, musimy o nich pamiętać i starać się oprzeć na nich całe nasze życie z Bogiem i ludźmi. Bo chociaż pojęcie miłości brzmi dla ucha ludzkiego ponętnie, to jednak praktyka miłości jest w rzeczy wistości dla egoistycznej na-

tury człowieka rzeczą bardzo trudną, wymaga bowiem stałych wyrzeczeń. Prawdziwa bowiem miłość nie polega na porwach serca i zmysłów, nie na wyznaniach i obietnicach, ale na czynach. Na czynach nieraz bardzo pospolitych, codziennych, odartych z krasy bohaterstwa, ale mimo to nie pozabawionych wzniosłości właśnie dlatego, że wyrastają z prawdziwej miłości, która wszystkimu, czego tknie, na daje cechę szlachetności, jaka ją samą charakteryzuje.

Miłość jest niestety często pojęciem słyconym, a co gorsze wypaczonym. Kto ją chce istotnie praktykować, musi ją przemysleć w świetle nauki Chrystusa i Kościoła. Tylko w niej znajdzie się właściwe jej ujęcie. I nie dziw. Jeden bowiem Chrystus z miłości uczynił kamień węgielny głoszonej przez siebie moralności. Religia Jego jest religią miłości. Bowiem Bóg, który stanowi tej religii przedmiot, jest samą miłością.

Felicja Zurowska

RODZIENNA MSZA ŚW.

Niedziela, 3 listopada
Niedziela 22 po Świątkach — Msza własna. Gl. Cr. Pref. Trójcy — kol. ziel.

Poniedziałek, 4 listopada
Św. Karola Borom. bisk. — Msza „Statut” Gl. (2 or. św. Witalisa i tow.) Pref. codziennie zwykła — kol. biały.

Wtorek, 5 listopada
Msza zeszłej n. dzieli, bez Gl. i Cr. Pref. zwykła — kol. ziel.

Środa, 6 listopada
Msza dosłownie jak wczoraj (ziełona).

Czwartek, 7 listopada
Msza jak wczoraj (zielona) Albo: wytywa Chryst. Kapłana. Gl. (biała).

Piątek, 8 listopada
Msza z niedzieli (2 or. św. 4 Koronowanych Męcz.) kol. ziel. Albo: msza św. 4 Męcz. Gl. (czerw.).

Sobota, 9 listopada
Rocznica Poświęc. Bazyliki Zbawiciela (2 kl.) — Msza „Terribilis” Gl. Cr. (2 or. św. Teodora) — kol. biały.

Niedziela, 10 listopada
Niedziela 23 po Świątkach — Msza własna. Gl. Cr. Pref. o Trójcy św. — kol. ziel.

ODWOŁANA DO WIECZNOŚCI

Sp. JÓZEFA KRUPÓW
w 74 r. życia, matka 13 dzieci, babka 9 wnuków i 15 prawnuków. Zapołączona św. Sakramentami 1.10.1963 r. w Katowicach-Boguchach.

ZA PAMIĘĆ W MODLITWIE
I UDZIAŁ W POGRZEBIE
„BÓG ZAPŁACI”

OGŁOSZENIA

Potrzebna pomoc domowa. Zgl. Katowice, Piebiscytowa 38b/13.

Piec parowy, 8 m² powierzchni ogrzewalnej sprzedaje parafia Koty, p. Tworóg, pow. Tarn.-Góry. Piec nadaje się do ogrzewania dużego kościoła.

PODZIĘKOWANIA

Z okazji złotych godów małżeńskich dziękują Bożu i Matce Najśw. za otrzymane łaski, Ks. Ep. Adamskiemu za udzielenie błogosławieństwa, duchowieństwu za odprawienie Mszy Przenajśw. oraz wszystkim krewnym i znajomym za udział w uroczystościach jubileuszowych czy to przez modlitwy, kwiaty i upominki.

Wiktoria i Augustyn Siupikowie z Żor.

Józef i Marta Breitkopowie z Miłkowa.

Marta i Franciszek Szwedowie z Radziejowa.

Jadwiga i Franciszek Zimnolowie z Tychów.

PISMO ŚWIĘTE

Starego i Nowego Testamentu w 1 tomie. Przekład X. J. Wujka komentowany. I wyd. powojenne, popr. opr. pl. zł. 200.— oraz inne książki religijne, nowe i używ. sprzedaje i kupuje

Księgarnia Katolicka
S. Lublińskiego Kraków,
Mikołajska 3. Wysyłka za pobraniem.

(dok. ze str. 3)

Szukamy tłumacza tej zagadki, gdy młody człowiek 28-letni umiał cierpieć przez 7 lat i cierpieć w ten sposób. A mo- że właśnie wspomniane źródła mocy pomagają nam powiedzieć: już rozumiemy, jaka moco leży w wierze i w jej świętych tajemnicach.

Józef Knurowski

MOJ KOŚCIOŁ PARAFIALNY

Przez cały miesiąc listopad słyszymy z ambony pełny tekst intencji mszalnych. Proboszcz nie czyta ich w ciągu roku kościelnego, gdyż czytanie 24 intencji na cały tydzień przedłużałoby ogłoszenia parafialne. Listopad stanowi pod tym względem wyjątek. Nasi księża zmierzają niewątpliwie do tego, aby parafianom niejako rozszerzyć horyzonty i pogłębić zrozumienie miesiąca zadusznego właśnie w ten sposób. Wynika to choćby z samego określenia intencji. Porządek Mszy Przenajświętszych jest przez cały tydzień każdemu dostępny w gablotce.

W listopadzie staram się jak najczęściej uczestniczyć we Mszy Przenajświętszej. Zanim wejdę do kościoła, czytam zazwyczaj intencję mszalną i usiłuję ją zapamiętać. W ubiegłym tygodniu odpisywałem na wet tekst intencji. I muszę wyznać, że redakcja tych tekstów zrobiła na mnie wrażenie. Rozszerzyła mi się rzeczywiście horyzonty i pogłębiło przeżywanie miesiąca zadusznego. Zanotowałem następujące intencje:

W intencji wszystkich ludzi, których śmierć zaskoczyła na morzach całego świata.

Za zmarłych lotników i ich pasażerów.

Za wszystkich zmarłych w katastrofach samolotowych, kolejowych i samochodowych.

W intencji wszystkich skażonych, których stracono na skutek niesprawiedliwego wyroku śmierci.

Za dusze tych, którzy zmarli w zakładach dla umysłowo chorych.

W intencji żołnierzy poległych na wszystkich frontach.

Za dusze górników, którzy zginęli w katastrofach kopalnianych.

W intencji więźniów skazanych na dożywocie i zmarłych w więzieniach.

Za wszystkich pomordowanych w obozach koncentracyjnych.

W intencji nauczycieli i nauczycielek, wychowawców i wychowawczyń, profesorów i ich studentów.

Za zmarłych lekarzy i aptekarzy, pielęgniarzy i pielęgniarki.

W intencji wszystkich sędziów i adwokatów, sekretarzy sądowych, dozorców i strażników więziennych.

Za nieznaną dobrodziejów ludzi ubogich i chorych.

Nasi księża po Mszy Przenajświętszej powtarzają tekst intencji i włączają go do specjalnej modlitwy odmawianej przez wiernych. Najczęściej odprawiają Ojciec nasz, Zdrowaś Maryjo i Wieczny odpoczynek.

Zauważyłem, że w miesiącu zadusznym bywa dużo ludzi w kościele. Mam na myśli dni powszednie, gdyż w niedziele frekwencja na Mszach Przenajświętszych jest zawsze wiel-

ka. Wynikałoby z tego, że pamięć o naszych zmarłych jest w naszej parafii żywa i serdeczna. Najwięcej ludzi przychodzi w dni powszednie na Msze Przenajświętsze odprawiane w intencjach określonych całymi zespołami zmarłych, właśnie takich, które sobie zanotowałem.

— Czy wiesz, kto zamawia Msze Przenajświętsze za zmarłych na morzach, w kopalniach czy samolotach?

Bronka podniosła głowę znad książki.

— Nie zastanawiałam się jeszcze nad tym. Co ty o tym sądzisz?

— Jestem zbudowany pomyślowością ofiarodawcy, którego pobożna pamięć sięga tak szeroko i daleko. Podejrzewam o to samego proboszcza, względnie któregoś z księży wykarych.

— Zgadza się z tobą co do pomyślowości ofiarodawcy. Jest ich pewnie kilkunastu w naszej parafii. Księży wyłaczam zupełnie, to nie jest ich pomysł.

— Dlaczego wyłączasz księży?

— Dlatego że w naszym kościele są w zasadzie wszystkie intencje zajęte. Co innego u naszych sąsiadów, gdzie intencji stałe brak. Pamiętasz, jak musieliśmy wędrować do nich na Mszę za naszych rodziców? U nas były dwa pogrzeby i dwa śluby. Trzeba było przeznaczyć się do sąsiadów.

— Przestań wreszcie upierać się przy niezmiennych terminach. To była wyłącznie twoja wina, uparłeś się, że w innym terminie poza dnem śmierci nie może być odprawiona Msza za rodziców. Stąd cała ta — moim zdaniem — niepotrzebna wędrowka do sąsiadów.

— Miałbyś rację, gdyby nie jeden maleńki szczegół.

— Jaki?

— Ksiądz, który odprawił w sąsiedniej parafii Mszę za naszych rodziców, znał osobistość mojego ojca od dzieciństwa. Wychowywali się razem, chodzili do jednej szkoły. Poza tym był miłe zaskoczony, że ktoś pamięta w tak piękny sposób o swoich rodzicach.

— Czy w jego parafii ludzie nie pamiętają o zmarłych?

— Widocznie nie, skoro mi za to wyraził uznanie.

— Więc kto jest autorem czy ofiarodawcą intencji mszalnych, jeżeli nie księża?

— Jeżeli ci na tym zależy, mogę postarać się o ich adresy.

— Nie urażaj, najdroższa. Powiem ci szczerze, że zazdroścę im tak pięknych pomysłów. Dzięki oryginalnym intencjom spędzam listopad wyjątkowo pięknie.

— Najdalej za trzy dni dowiesz się, kto pamięta o obywatelach, skazańcach i umysłowo chorych.

Adam Olszyna